

William J. O'Malley SJ

**E f e k t
W O W**

**Wskrzesić
wiarę**

Przełożył Marek Chojnacki

Wydawnictwo WAM

WSTĘP

Śmierć olśnienia

Czy to już wszystko?
Czy niczego więcej nie ma?
Jeśli tak, przyjaciele,
to tańczmy,
pijmy i bawmy się,
jeśli
to już wszystko.

PEGGY LEE, „IS THAT ALL THERE IS”, 1969

Powiedział kiedyś pewien mądry, stary komik żydowski: „Oj-cze, nie czujemy już smaku chleba”. To stwierdzenie jest aż nazbyt prawdziwe. Dziś chleb już nie smakuje, jeśli nie do-damy do niego jakichś smakowitości. Wino po prostu konsu-mujemy; nie robi na nas żadnego wrażenia, chyba że wypijemy go za dużo. Dopiero niedawno, gdy spostrzeżliśmy, że może nam ich zabraknąć, dostrzeżliśmy wartość takich cudów, jak powietrze i woda; wcześniej w ogóle ich nie zauważaliśmy. Wciąż jeździmy samotnie samochodami, wyrzucając puszki przez okno.

Jeszcze bardziej przerażający – zwłaszcza dla tych spośród nas, których obchodzi jeszcze coś poza czubkiem własnego nosa – jest fakt, że nawet niewątpliwie spektakularne wyda-rzenia nie robią już na nikim żadnego wrażenia. Wyprawy na

Księżyc wyszły z mody, nim jeszcze je odwołano (być może właśnie ze względu na brak zainteresowania opinii publicznej). Nadmiar relacji medialnych o katastrofie ekologicznej w Zatoce Meksykańskiej, w której uszkodzenie szybu wiertniczego BP spowodowało gigantyczny wyciek ropy do morza, sprawił, że dziś doniesienia o konsekwencjach tego zdarzenia raczej nas nużą, niż szokują. Koncerty, na których nie ma apokaliptycznych stroboskopowych błysków, wybuchów i dymu, uznajemy za niezbyt udane.

Od chwili, gdy człowiek stał się istotą myślącą, nieustannie zdumiewały nas cuda i dziwy natury: słońce i gwiazdy, ulewny deszcz, porażający, wdzierający się w nasze życie cud narodzin i śmierci, oszalamiające i odurzające misterium seksu, nieskończony korowód widzianych codziennie twarzy. Dziś jednak nasze mózgi uwięzły w potrzasku iPodów; ufamy jedynie informacjom i obrazom, które docierają do nas za pośrednictwem telefonów komórkowych. (Widziałem kiedyś chłopaka i dziewczynę, którzy szli, trzymając się za ręce, przez kampus uniwersytecki, każde z komórką przy uchu. Modliłem się, by się nie okazało, że rozmawiają w ten sposób z sobą.) Immanuel Kant miał kiedyś powiedzieć: „Gdyby gwiazdy wschodziły tylko raz w życiu, patrzylibyśmy na nie całą noc”. Dzisiaj nie chcemy wyjść z jaskini Platona, nie mogąc oderwać wzroku od bladego światła gwiazd z programów dla celebrytów.

Gdzieś w oderwanej od świata głębi nasze odrębne „ja” stopniowo otacza się pancerną skorupą własnych odruchów obronnych. Brutalność spadających na nas ciosów tłumi potężna dawka środków odurzających – telewizja, muzyka, alkohol, narkotyki – które mają znieczulić nasze lęki i uchronić nas przed poczuciem niższości wobec faktu, że nie potrafimy sprostać niekończącej się serii wyzwań. Pasjami oglądamy

programy rozrywkowe w rodzaju *Big Brothera*, fascynują nas najrozmaitsze reality i talent shows, dostarczające bezpiecznych emulacji darwinowskiej walki o byt. Jak zahipnotyzowani, wraz z milionami widzów wpatrujemy się w dramatyczne wysiłki amatorów próbujących dorównać zawodowym tancerzom i wirtuozom gastronomii i z pokorą poddających się stygmatyzującym ocenom bezwzględnej jury; imponują nam ogromni, umięśnieni mężczyźni z zapalem ciągnący w telewizji walec drogowy. Zabawy dla dzieci urastają do rangi zmagania na śmierć i życie, a biorący w nich udział celebryci zarabiają wielokrotnie więcej niż premier czy prezydent, od którego zależy ma nasze bezpieczeństwo. Nawet dziedziny sztuki, takie jak taniec i teatr, zmieniają się w dochodowe zawody, w których powodzenie, podobnie jak w świecie polityki, zależy od prezencji, uroku osobistego i umiejętności schlebiania upodobaniom mas. Rywalizacja w przestrzeni publicznej jako żywo przypomina starożytne walki gladiatorów. Zawodnicy toczą z sobą boje na śmierć i życie, a mimo to nie umierają. Na arenie świata nie ma już miejsca na śmierć. Zepchnięto ją do getta szpitali i domów starców. Prawdziwe przypadki śmierci, o których dowiadujemy się z programów informacyjnych, są równie realne jak fikcyjne zabójstwa tropione przez agentów NCIS. W tej sytuacji wszelki sens traci ewangeliczna obietnica zmartwychwstania, wolności od lęku przed śmiercią.

Chowamy się za parawanem rozmaitych pilnych zajęć, chodzimy na fitness, uprawiamy sporty w zamkniętych pomieszczeniach, których strzegą elektroniczne zabezpieczenia. Żyjemy tak, jakbyśmy bez słowa wyjaśnienia nagle znaleźli się w beckettowskim świecie smutnych kłownów, którzy muszą wypełnić otaczającą ich pustkę czczą gadaniną i zabawą, oszukując samych siebie niewyszukanymi rozrywkami. Zapomina-

my, że słowo „rozrywka” wywodzi się od czasownika „rozerwać się”, mającego dosłowny, bynajmniej nie pozytywny sens.

Wszystkie tradycyjne, bezpieczne niegdyś punkty odniesienia – autorytet władzy politycznej, Kościoła, szkoły – upadły. Bohaterowie, którzy pozostali na scenie, są amoralni; żyjemy w świecie gwiazd muzyki i sportu, nie mając im za złe ich wyzywającego samouwielenia, skoro należą do magicznego świata półbogów, którym wszystko uchodzi na sucho. Musimy jakoś zapełnić pustkę, by zapomnieć, że Godot, na którego czekamy, nie przyjdzie także i dziś. Jutro również nie przyjdzie. „Jeśli tak, przyjaciele, to tańczmy, pijmy i bawmy się, jeśli to już wszystko”.

Gdybyśmy mieli wybierać, na pewno wolelibyśmy, by nasze dzieci spotkał raczej los Billa Gatesa czy Julii Roberts niż Martina Luthera Kinga czy matki Teresy z Kalkuty. Kto chciałby walczyć o sprawiedliwość, przeciwstawiając się policyjnym represjom, albo leczyć i przygarniać trędowatych? I skąd u nich ta chorobliwa skłonność do heroizmu? Co roku na zadawane przeze mnie w formularzu pytanie: „Kto jest twoim bohaterem?” trzy czwarte respondentów nie udziela żadnej odpowiedzi albo pisze „nikt”. Któż mógłby zostać bohaterem ludzi pochłaniających tabletkowe opowieści o celebrytach? Pozwoliliśmy na to, by podobne standardy skreślały naszą przeszłość.

Co dziś mogłoby nas olśnić, zaskoczyć, wywołać okrzyk „wow!”? Góry? Gwiazdy? Dzieci? Książki? Piwo? Cud, że żyjemy? Tego rodzaju reakcje są niezwykle rzadkie, gdyż naszą percepcję tych zjawisk i zdarzeń tłumi rytm życia, zarówno w mieście, jak i na prowincji. Media nadają wielką wagę rzeczom trywialnym (wizerunek, liczby, sława), trywializując zarazem to, co rzeczywiście ważne (seks, miłość, śmierć). Uni-

kamy wszystkiego, co naprawdę przerażające czy poruszające. Mimo niezmiernej popularności tak zwanych reality shows wciąż sprawdzają się słowa T.S. Eliota, że „ludzkość nie może znieść zbyt dużej dawki rzeczywistości”. Pięćdziesiąt lat temu w Stanach Zjednoczonych wielu młodych idealistów brało udział w zamieszkach i demonstracjach ulicznych, ryzykując własne bezpieczeństwo, by zaprotestować przeciwko wojnie w Wietnamie. Dziś niewiele osób protestuje przeciwko wojnom w Afganistanie i w Iraku, pochłaniającym życie o wiele większej liczby ludzi niż samobójcze ataki, które miały pomóc te operacje. Cóż zatem, na Boga, w epoce tak wielkiej obojętności zasługuje na miano czegoś niezwykłego, ekscytującego? Co może być sensowne i ważne, czy choćby nawet tylko godne uwagi?

W każdym razie obowiązujący wzorzec kulturowy wydaje się sprowadzać motywy naszych zachowań wyłącznie do stymulacji i symulacji. Zamiast być autentycznie szczęśliwi, wolimy łaskotki, drażnienie nerwów. Gdziekolwiek byśmy się obrócili, nasze życie, jak w Szekspirowskim *Makbecie*, zdaje się tylko „powieścią idioty, głośną, wrzaskliwą, a nic nie znaczącą”.

Sądzę, że śmierć olśnienia bierze się z tego samego lęku, który leży u podłoża wspomnianych wcześniej odruchów obronnych. Pełne lęku i czci zdumienie ogarnia nas jedynie wówczas, gdy damy się zaskoczyć, gdy zadziwi nas wielkość czegoś, co jest inne od nas. A my rzadko kiedy pozwalamy sobie na zaskoczenie. Nazywamy je „paranoją”. By zdumiała nas wzniosłość, musimy poczuć się mali w obliczu wielkości Innego. Widząc majestat potężnego szczytu, nieposkromioną moc oceanu, bezkres rozgwieżdżonego nieba, padamy na kolana. Czujemy wówczas własną małość i kruchość.